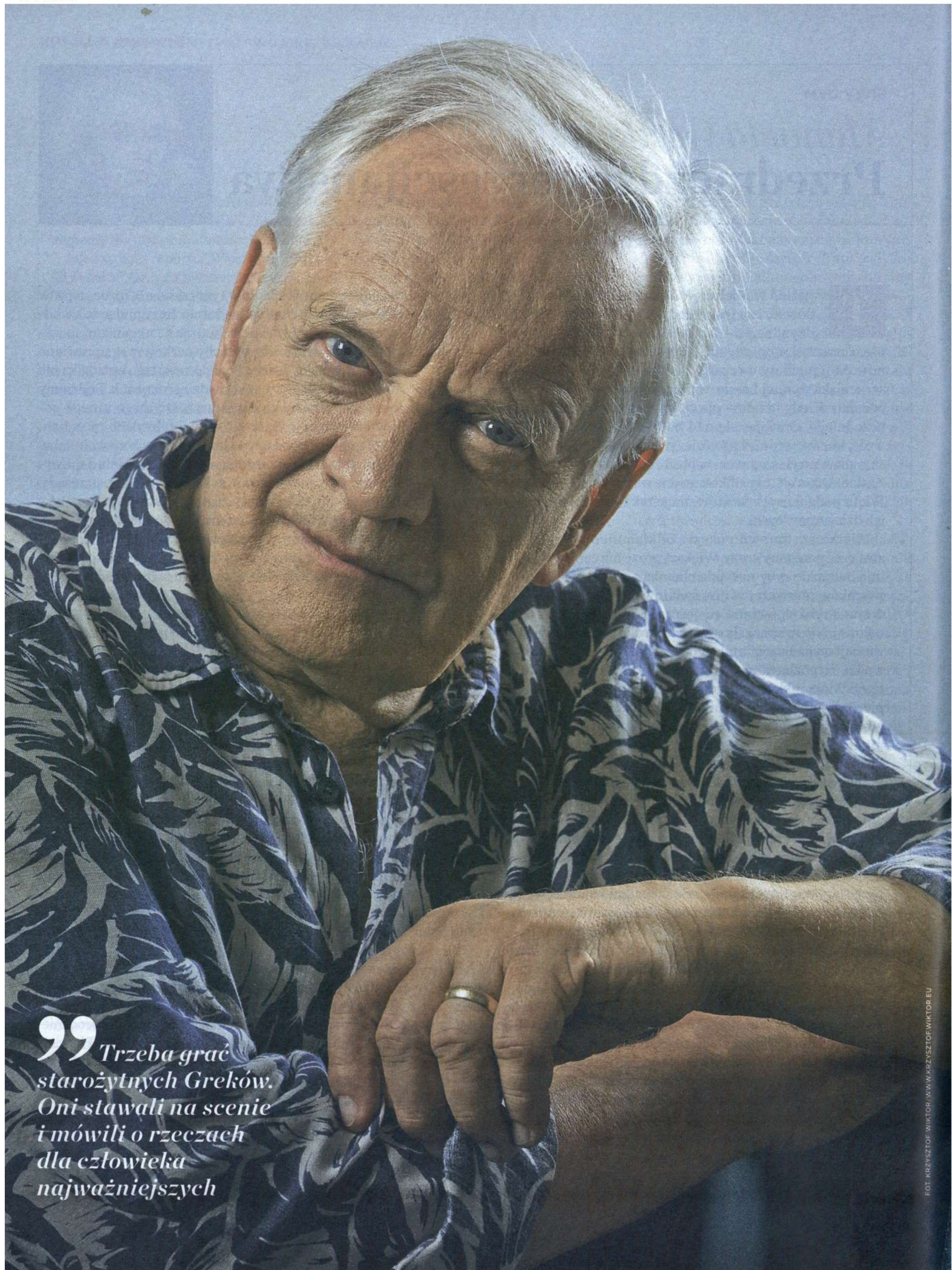




”Trzeba grać
starożytnych Greków.
Oni stawali na scenie
i mówili o rzeczach
dla człowieka
najważniejszych

ROZMOWA Z ANDRZEJEM SEWERYNEM

Byłem średnim ojcem

Te ponad 50 lat na scenie sprawiło, że przestałem być w życiu prywatnym kabotynem – **ANDRZEJ SEWERYN** opowiada o roli w serialu „Rojst '97” i o tym, dlaczego jest szczęśliwy

ROZMAWIA JACEK TOMCZUK

NEWSWEEK: W „Rojście '97” gra pan zmęczonego życiem dziennikarza, który właściwie odchodzi z zawodu, przestaje pisać. Wyobraża pan sobie swoje życie bez sceny, planu filmowego?

ANDRZEJ SEWERYN: Po ponad 50 latach grania na scenie? Zaskoczę pana. Tak. Steven Spielberg poproszony na planie „Listy Schindlera”, w której grałem, o autograf dla mojego syna napisał mi: „Imagination is your future”. Jestem w stanie wszystko sobie wyobrazić, łącznie z tym, że odchodzę z zawodu, choć na razie nic na to nie wskazuje. Pomogła mi w tym pandemia.

Odpuścił pan?

– Pandemia pokazała, że można żyć inaczej. Pierwsze dwa tygodnie, pewnie jak wiele osób, przeżyłem w euforii i zadowoleniu, że mogę się wyspać, odpocząć. Ale po kilkunastu dniach już bardzo źle się czułem. Ciało przyzwyczajone do grania, wysiłku, koncentracji, zaczynało bardzo narzekać. Musiałem je zająć czymś konkretnym: ciężko pracować fizycznie, chodzić na spacer. I dałem radę, więc może bez pracy nie byłoby tak źle.

Ale tyle razy pan mówił: praca to sens życia.

– Kiedy mówi się, że praca jest najważniejsza, to znaczy, że reszta jest mniej ważna. Tak chyba nigdy nie sformułowałem swojej filozofii życia, ale zdaję sobie sprawę, że ludzie mogą tak zrozumieć moje słowa. Ale nie chodzi tylko o to, że kocham grać, mam jakąś misję, dobrze mi to wychodzi, ludzie chcą mnie oglądać. Powód mojego zapracowania był przez lata bardzo prozaiczny: dzięki niej się utrzymywałem. Mogłem mniej występować, tylko z czego utrzymałbym rodzinę? Granie było koniecznością.

„Jestem niewolnikiem mojej pracy”

– to pana słowa.

– Ale to zupełnie coś innego! Czy pan myśli, że dla niewolnika praca jest najważniejsza? On nie ma wyboru. Tak się składało, że prace, które miałem do wykonania, były bardzo ciekawe. I odrzucać ich nie miało sensu.

Za graną przez pana postacią Witolda Wandycza właściwie przez całe życie ciągnie się wojenna przeszłość.

Pan urodził się rok po wojnie, ale rodzice poznali się podczas niej.

Rozmawialiście o przeszłości?

– Niewiele. Rodzice zostali zatrzymani podczas łapanek w Warszawie i wywiezieni, jak to się kiedyś mówiło, „na roboty” do Niemiec, w okolice Bremy. I tam się dopiero poznali, razem pracowali w cegielni, chociaż matka prała też ubrania wojskowe dla żołnierzy niemieckich. Pokochali się i pobrali, jestem dosłownie dzieckiem wojny. Ale kiedy miałem 10 lat, rodzice się rozwiedli. Ojciec pracował wtedy we Wrocławiu i przysłał list, że odchodzi. Ich rozstanie utrudniło wiele spraw, w tym też rozmowę o przeszłości, uzgodnienie jednej wersji tego, co przeżyli w Niemczech.

Kiedy trzy lata temu dziennikarze, którzy przeprowadzali z panem wywiad rzekę „Ja prowadzę”, pytali, dlaczego wróciliście do Polski dopiero w 1948 r., a nie od razu po wojnie, nie wiedział pan i zadzwonił do mamy.

– O rodzinie zacząłem z nią rozmawiać dopiero koło mojej siedemdziesiątki. Nawet nagrałem kilka naszych rozmów. Ale już więcej nie zadam jej pytań, bo mama odeszła w październiku ubiegłego roku. Mam żal do siebie, że nie pytałem więcej.

Jakich pytań nie zdążył pan zadać?

– Jak i gdzie spędziła dzieciństwo. To było bodaj Jędrzejowo pod Kielcami. Niewiele mi o tym opowiadała. Pochodziła z chłopskiej rodziny, szybko straciła rodziców, zaopiekowali się nią wujowie, potem pracowała w bogatym żydowskim domu jako służąca, aż wyjechała do Warszawy i stąd trafiła na roboty. W Niemczech spotkała

się z przedstawicielem inteligencji warszawskiej, moim ojcem.

Te pytania o korzenie nie były dla pana ważne?

– To nie tak. Przeszłość rodziny w ogóle nie była przedmiotem namysłu, bo byłem tak zajęty tym, co działo się na bieżąco: życiem osobistym, pracą, zarabianiem. Rodzina też mi w tym nie pomagała.

Dwie żony z zagranicy nie były ciekawe pana korzeni?

– Powiem tylko, że relacje rodzinne, jakie przez lata tworzyłem, były bardzo złożone i nie sprzyjały grzebaniu w przeszłości. Dostatecznym wyzwaniem była teraźniejszość. Nie chcę zwać odpowiedzialności na kogoś, ale nie było żadnej presji w sprawie mojej genealogii. Nikt mnie nie pytał: co robili twoi dziadkowie?

To ciekawe, ale od dawna miałem świadomość, że przeszłość warunkuje nasze życie polityczne, społeczne, ma wpływ na kulturę współczesną, ale nie odnosiłem tego do siebie. Myślę, że coś się zmieniło, kiedy wróciłem z Francji do Polski i uświadomiłem sobie, że się starzeję. Z wiekiem człowiek mądrzeje i zdaje sobie sprawę, że rodzina to coś fundamentalnego w naszym życiu, że tak naprawdę to ona nas tworzy. Nieważne, czy osłabia, czy umacnia.

Zastanawiał się pan, co pan odziedziczył po rodzicach?

– Stosunek do pracy i społeczeństwa na pewno mam po ojcu, dyrektorze kilku zakładów państwowych, typowym ideowcu. On mi przekazał, że praca ma głęboki sens, jest czymś, co przynosi owoce nie tylko dla mnie samego, ale też dla świata, rodziny, społeczeństwa. To po nim przez lata miałem przekonanie, że to, co wypracowane, jest lepsze, wartościowsze. Tyle że w zawodzie artystycznym to nie zawsze jest prawdą i zdarzało się, że to mnie gubiło jako aktora. Musiały minąć lata, żebym zrozumiał, że geniusz (aktorski, reżyserski, artystyczny) również może się wyrazić w łatwości czy lekkości. Mama była chłopką, po niej odziedziczyłem chłopski upór i chęć, żeby to zabrzmiało pozytywnie. Pracowała jako sprzątaczką w Pałacu Kultury, konduktorką w trolejbusie, strażniczką nocną i przez 30 lat jako garderobiana w Teatrze

Polskim. Z ogromnym poświęceniem zapewniała nam z siostrą byt i wykształcenie. A my staraliśmy się pomóc losowi i ciężko na studiach pracowaliśmy. Odziedziczyłem też po rodzicach wady.

Jakie?

– Nie będę o tym mówił.

Co te ponad 50 lat na scenie panu dało, a co zabrało?

– Wolałbym mówić, co mi dało. Wiele. Możliwość zarabiania na życie, spotkania z takimi reżyserami jak Andrzej Wajda, Andrzej Żuławski, Jacques Lassalle, przepraszam z góry tych wszystkich, których nie wymieniłem. Dało mi możliwość zetknięcia się z najbardziej subtelnymi tekstami traktującymi o naturze człowieka, co jest dane naprawdę nielicznym. Zajmowałem się „Antygoną”, „Królem

„Obnosiłem się ze swoim aktorstwem, mówiłem w sytuacjach prywatnych jak aktor... Bywałem nadęty, zarozumiały, konfliktowy

Edypem”, Molierem, Szekspirem, Mrożkiem... Może to zabrzmieć pretensjonalnie, ale kto wczytał się tak głęboko w „Borysa Godunowa” czy „Króla Leara”? Człowiek, który gra takie teksty, styka się z czymś zupełnie niezwykłym, staje się w jakimś stopniu ich autorem na scenie.

Wykorzystał to pan do zrozumienia siebie, innych?

– Nie wiem. Mam nadzieję, że mnie to wzbogaciło, choć mam poczucie, że mogłem z tego skorzystać w dużo głębszy sposób.

Wracając do pana pytania, ten zawód dał mi podróż, możliwość nie tylko poznania języków, ale i mieszkania w innym kraju. We Francji mieszkałem przez 33 lata i znajomość języka sprawiła, że odczuwałem ten kraj w dużo pełniejszy sposób. Zresztą Francja dała mi możliwość

zetknięcia się z zupełnie innym życiem zawodowym niż w Polsce, nauczyła walczyć o pracę, przez te lata tylko pół roku spędziłem na bezrobociu. Przede wszystkim dała lekcję pokory, a może nawet rozluźniła.

Coś pana ominęło przez pracę?

– Wyjechałem do pracy do Francji, więc ominęła mnie noc z 12 na 13 grudnia 1981 roku, stan wojenny, bojkot aktorski mediów państwowych...

Miałem na myśli raczej życie prywatne.

– Nie widziałem, jak dorastają dzieci, brakowało mnie w rodzinach, które tworzyłem... Ale to są banały, wspólne doświadczenia wszystkich osób zaangażowanych w swoją pracę, niezależnie, czy naukowców, czy aktorów. Choć widzę, że w naszym środowisku stosunek do pracy też się zmienia, obserwuję młodych aktorów, ojców, którzy potrafią znaleźć balans między życiem zawodowym a dbaniem o rodziny, kontakty z dziećmi w stopniu nieporównywalnie większym niż za mojej młodości.

Ale jeżeli pyta mnie pan o relacje aktorstwa i życia prywatnego, to z perspektywy lat widzę zmianę. Aż się boję to powiedzieć, ale co mi tam, mam 75 lat. Te ponad 50 lat na scenie sprawiło, że przestałem być w życiu prywatnym kabotynem.

A był pan?

– Jestem o tym przekonany, obnosiłem się ze swoim aktorstwem, mówiłem w sytuacjach prywatnych jak aktor... Bywałem nadęty, zarozumiały, konfliktowy. I ta ówczesna niezachwiana pewność: wierzę w sztukę, wierzę w teatr. Dzisiaj to wszystko wydaje mi się złudne. Przestałem być kabotynem dzięki mojemu zawodowi, co wydaje się sporym paradoksem. **Kiedyś pan powiedział, że każdy dobry aktor musi być po trosze kabotynem i egoistą.**

– Przesadziłem, nie wolno tak mówić. Dzisiaj bym dodał, że pracowitość, wytrwałość są nie mniej ważne.

Rozmawiałem przed wywiadem z pana starymi znajomymi. Mówią: Andrzej wreszcie jest spokojny i szczęśliwy.

Prawda?

– Z tym spokojnym to przesada. Ale szczęśliwy? Tak.

Co się stało?



Kadr z serialu „Rojst '97” w reż. Jana Holoubka

– Przepraszam, że pana rozczaruję, ale to są banały: wróciłem do Polski, dużo gram pomimo swego wieku, robię dobrą robotę jako dyrektor Teatru Polskiego, spotkałem swoją żonę Kasię... Poza tym, jak się ma 75 lat, to nie będę już podskakiwał.

Jest pan lepszym dziadkiem czy ojcem?

– Jestem jednym i drugim, i tego nie da się rozdzielić. Przez lata byłem średnim ojcem, żeby nie powiedzieć gorzej. A dzisiaj jestem niezłym ojcem i niezłym dziadkiem. Chyba dlatego, że jestem rozumiany przez moje dzieci, co daje mi siłę. Może to jest ta tajemnica szczęścia.

Wiek uspokaja czy niepokoi?

– Mogę mówić tylko za siebie. Mnie uspokaja, to nie znaczy, że zacząłem postrzegać świat jako lepsze miejsce albo że mi osobiście wygodniej się żyje. Raczej zobaczyłem, że pewne rzeczy są na świecie nieuchronne, na przykład zło. I wiem, że muszę się z tym pogodzić, wypracować swój stosunek do tego, ale nie łudzę się już, że można zbudować inny świat, wystarczy tylko dobrze to przedyskutować.

Przez lata mówił pan o sobie:

„harcerzyk” z dużym poczuciem misji.

– Wiek nie zmniejszył poczucia misji, choć nie lubię tego słowa.

Używał go pan.

– Wiem, nawet celowo. Aż Janek Nowicki mnie opieprzył, że przesadzam. Bycie dyrektorem czy aktorem to żadna misja. Po prostu w naszym zawodzie zdarza się, że

poruszamy ze sceny dość ważne, ciekawe dla świata, społeczeństwa pytania. I dajemy złudzenie, że życie może wyglądać inaczej niż codzienna egzystencja ludzi. Właściwie temu służy nasza sztuka.

Co trzeba dzisiaj grać?

– Starożytnych Greków. Sprowadzili teatr do tego, co najważniejsze: stawali na scenie, mieli przed sobą księżyc, noc i mówili o rzeczach dla człowieka najważniejszych.

W „Rojście '97” pana bohater mówi o swoim życiu: „Źle wybrałem i spieprzyłem”. Pan też kiedyś źle wybrał?

– Źle wybrać to być świadomym alternatywy, decyduję się na to, odrzucam tamto. Mam wątpliwości, czy wiele razy byłem w takiej sytuacji.

Raczej płynął pan z nurtem?

– Oj, niekoniecznie z nurtem, bo moje decyzje polityczne w latach 60. i 70. niekoniecznie bym nazwał płynięciem z nurtem [Seweryn w 1968 r. został aresztowany za kolportowanie ulotek przeciw interwencji wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji, w latach 70. popierał KOR – red.]. Jako artysta miałem szczęście, dawałem się porywać dobrym wiatrom. Mam niewiele ról, których bym się wstydził. To nie tak, że wystąpiłem w samych wybitnych produkcjach. Zdarzały się złe filmy, nieudane spektakle, choć tylko kilka z nich określiłbym

jako zupełnie pozbawione sensu. Jednym z dobrych wiatrów, którym dałem się ponieść, był wyjazd z Wajdą do Francji, gdzie miałem zagrać w „Onych” Witkacego.

W serialu pana bohater ciągle wraca do wydarzeń z czasów, kiedy miał 16-17 lat.

Pamięta pan siebie w takim wieku?

Dałby pan sobie jakąś wskazówkę

na życie z dzisiejszej perspektywy?

– Oczywiście, byłem uczniem pani Anny Radziwiłł i powiedziałbym sobie: więcej czytaj! Poza tym mimo braku na co dzień ojca musisz podejmować trudne decyzje. I przede wszystkim naucz się mówić: nie. Brak ojca, z czego zdałem sobie sprawę na poważnie dopiero niedawno, sprawił, że miałem z tym olbrzymie trudności. Upraszczając: przez lata nie potrafiłem odmawiać. **N**

jacek.tomczuk@newsweek.pl

ANDRZEJ SEWERYN JEST AKTOREM, REŻYSEREM, DYREKTOREM TEATRU POLSKIEGO W WARSZAWIE. W LATACH 60. I 70. GRAŁ W SPEKTAKLACH PETERA BROOKA, PETERA STEINA CZY JACQUES'A LASSALLE'A. WYSTĄPIŁ W WIELU FILMACH ANDRZEJA WAJDY („ZIEMIA OBIECANA”, „DYRYGENT”, „PAN TADEUSZ”, „ZEMSTA”), TAKŻE M.IN. U AGNIESZKI HOLLAND, STEVENA SPIELBERGA CZY MICHELA HOUELLBECQA. 7 LIPCA NA PLATFORMIE NETFLIX PREMIERĘ BĘDZIE MIAŁ SERIAL „ROJST '97” W REŻYSERII JANA HOLOUBKA